



R.S.W. „Prasa”
DZIAŁ DOKUMENTACJI
PRASOWEJ
Warszawa, Emilii Plater 10
Tel. 8-59-59

Abonent Nr _____

Wycinek z czasopisma

wydanie _____

Nr _____ z dn. _____ 195 _____

Jerzy Korczak

Nowa premiera poznańskich satyryków

W okrestie Targów, teatry poznańskie dały szereg imprez, mniej lub bardziej udanych. Ogólna ich liczba, jak obliczają miejscowi „statystycy kulturalni”, doszła do 250! Oczywiście liczba ta dotyczy nie tylko teatrów, lecz także wszystkich artystycznych i — dodajmy — pseudoartystycznych występów.

Slupy, parkany i budki ogłoszeniowe oklejone były szczególnie afiszami. Znikwały one i tak w tempie błyskawicznym; brak bowiem było nie tylko sal do występów, lecz także miejsca na reklamę.

Miejscowe teatry dramatyczne odkurzyły z zapomnienia sztukę Dominika Gabczyńskiego pt. „Rozbójnik salonowy”, a Teatr Satyry dał prapremierę farsy Gabczyńskiego „Babcia i wnuczek” czyli „Noc cudów”.

Przedstawienie wywołało ożywioną dyskusję i to zarówno wśród tzw. publiczności teatralnej, jak i tzw. znawców.

Wiemy nie od dziś, że twórczość Gabczyńskiego nikogo obojętnym pozostawić nie może; szokuje, złości, śmieszy i oświeca. No i zawsze zmusza do niejednej refleksji.

Poznański Teatr Satyry jeszcze w 1953 roku przedniósł „Zieloną gęś” ze szpalt ilustrowanego magazynu na deski teatralne.

„Gdyby Adam był Polakiem...” „Tak nazywała się pierwsza „ożywiona” „Zielona gęś”. Już wtedy łatwo było się przekonać, ile humoru można wydobyć z tego tak specyficznego gatunku scenicznego.

Potem warszawskie „Ateneum” oraz kilka prowincjonalnych teatrów powtórzyło eksperyment. Lody zostały przełamane. Satyra i groteska Gabczyńskiego zdały swój egzamin także i ze sceny.

Nawet chroniczni przeszkadzacze wszystkiemu co nowe i odbiegające od szablonu — musieli to przyznać. „Babcia i wnuczek” dopiero w połowie 1955 roku ujrzała światła teatralnej rampy.

Ta celna satyra skrzy się od dowcipnych powiedzonek, a akcja pełna jest nieoczekiwanych spięć. Przez scenę przewija się galeria arcyzabawnych figur. Każda z nich wykrzywiona jest krzywym zwierciadłem groteski. Oto koltunka nad koltunkami — Babcia Lorelei, bohaterka farsy. Należy jej się z całą pewnością honorowe obywatelstwo krainy Ciemnogrodu; jest cudomanką.

W swoim pokoju ma zawieszony kalendarz cudów. Oto kilka wyjątków z tego kalendarza:

20. VIII. Łomża. Koń ze skrzydłami
26. VIII. Słubice. Fotografie płaczą krwawymi łzami.
1. IX. Głubisz. Wąż na niebie.

Fabula farsy zawiązana jest wokół kolejnego cudu w leśniczówce na Mazurach pokazuje się dzięk z głową Batorego. Czyż może w owej leśniczówce braknąć na szes babci?

Przed nami przewija się przeżabawny, a chwilami też ponury korowód: babcia, jej wnuczek Zbyszek oraz grupa jego kolegów. Wszyscy oni zdążają w stronę tajem-

niczej leśniczówki, gdzie rozegra się finał farsy: babcia przemieniona zostaje w zieloną gęś.

Osobny rozdział tego kapitalnego żartu scenicznego stanowią panowie Rączka i Adamus. Już samym zjawieniem się na scenie wywołują oni huragany śmiechu. Adamus jest chudy, wysoki, stale balansuje niby bocią na jednej nodze. Rączka zaś odwrotnie: mały garbaty i jakby przyplaszczony do ziemi.

Para szarlatanów już na samym wstępie wygłasza swoje życiowe credo:

Jeśli trzeba gdzieś postać zamęczyć,
Lub parę prorocztw w stylu Nostradamus,
Do wynajęcia zawsze nasz okręci
się polecamy

Rączka i Adamus...

W Poznańskiej realizacji „Babci i wnuczka” starano się, aby nadać widzowi niejako rolę czynną. Gdy na przykład do mieszkania babci przychodzą koledzy Zbyszka, ubrani w stroje „metafizyczne”, pukają oni u przednio w sceniczną ramę i znacząco mrugają do publiczności. To porozumiewawcze spojrzenie towarzyszy całemu przedstawieniu.

Realne sytuacje farsy pomieszanę są z groteską.

Przed wyjazdem do leśniczówki babcia pakuje swoje rzeczy. Wśród nich jest także bielizna osobista. Ale koronkowe desusy nie leżą bynajmniej na półce, lecz zjeżdżają na sznurku z góry. Za to amerykańskie konserwy pakowane są do autentycznego kosza.

Tej właśnie koncepcji służą też oryginalne kostiumy Andrzeja Cybulskiego. Babcia przystrojona jest w papuzią suknię, pełną ponaszywanych szmatek i aplikacji. Na głowie ma kapelusz z piórami i specjalną klapką, klapkę tę w końcowych scenach uchyla koledzy wnuczka, wlewając olej do babcinej głowy.

Tak więc — jak to u Gabczyńskiego — pozorny absurd spełnia swą bardzo konkretną funkcję: bije rozmaite Kociubińskie i Zaprzątkalskie, które, powiedzmy to sobie szczerze, żyją jeszcze przecież wśród nas.

Poznański Teatr Satyry ma swoją własną, coraz bardziej krystalizującą się linię repertuarową. Już w swoim pierwszym programie — w połowie 1953 roku — wystawił po raz pierwszy w Polsce, obok skeczów i monologów, obszerny fragment „Łaźni” Majakowskiego. Warto w tym miejscu przypomnieć, że był to okres, w którym kulturalne ostrożniactwo świeciło swoje triumfy.

W pół roku później teatr porwał się na mniej ambitną realizację pełnego aktu „Pana Puntilli” Brechta. Fakt ten zdarzył się w okresie gorączkowych rozważań, czy wielkie odkrywcze dramatopisarstwo Brechta mieści się w teatralnym profilu naszego życia kulturalnego. Wreszcie w lutym br. odbyła się prapremiera „Kacocy” Merimego. Ze żądło tej satyry było ostre, świadczyć może fakt charakterystyczny: oto następnej nocy nieznanymi sprawcy pozrywali afisze.

Na tej samej linii repertuarowych poszukiwań, co wymienione pozycje, znalazła się farsa Gabczyńskiego.